

Ci, którzy odchodzą z Omelas

Ursula K. Le Guin

październik 1973

Huk dzwonów, który poderwał w niebo jaskółki, obwieścił miastu Omelas, wznoszącemu swe jasne wieżycy nad brzegiem morza, początek letniego karnawału. Maszty stojących na przystani statków mienia się od flag. Ulicami, wśród pokrytych czerwoną dachówką domów o malowanych ścianach, wśród zarośniętych mchami ogrodów, alejami, pod sklepieniem potężnych konarów drzew, obok wielkich parków i budynków publicznych, ciągnie pochód. Wyglądający dostojnie starcy w długich, sztywnych szatach, fiołkowych i szarych, poważni majstrowie, spokojne, wesoło rozplotkowane kobiety z dziećmi na rękach. Na innych ulicach muzyka jest szybsza - wibrują gongi i tamburyny - a ludzie idą krokiem tanecznym; pochód jest tańcem. Piski igrających dzieciaków wznoszą się ponad muzykę i śpiew niby śmigające jaskółki. Podążają ku północnym krańcom miasta, gdzie na rozległej, podmokłej łące, zwanej Zielonymi Błoniami, chłopcy i dziewczęta o długich, gibkich ramionach, nadzy w roziskrzonym słońcu, umazani mułem po kostki, ćwiczą przed wyścigiem swoje narowiste rumaki. Konie nie mają żadnej uprzęży poza kantarem bez wędzidła. W grzywy powplatano im srebrne, złote i zielone wstążki. Parskają i tańczą, pyszniąc się przed sobą nawzajem; jako jedyne zwierzęta, które przyjęły nasze obyczaje, są bardzo podniecone. Daleko na północy i zachodzie wznoszą się góry, otaczając półkołem położone nad zatoką Omelas. W przezroczystej, prześwietlonej słońcem aurze poranka śniegi wieńczące jeszcze Osiemnaście Szczytów płoną białozłotym ogniem pod ciemnym błękitem nieba. Wiatr jest na tyle tylko silny, by znaczące tor wyścigowy proporczyki załopotaty od czasu do czasu. W ciszy rozległych zielonych błoni słyszeć, to bliżej, to dalej, jak wijąc się ulicami miasta nadciąga muzyka; czuć pogodną słodycz w powietrzu, które wzbiera drganiem, by od czasu do czasu wybuchnąć wielką radosną symfonią dzwonów.

Radosną! Jak tu mówić o radości? Jak opisać mieszkańców Omelas?

Wierzcie mi, nie są to ludzie prymitywni, choć tak bardzo szczęśliwi. To tylko myśmy zapomnieli słów oznaczających radość. To dla nas uśmiech stał się czymś anachronicznym. Po takim wstępie zwykliśmy puszczać wodze wyobraźni. Widzimy więc króla na wspaniałym rumaku w otoczeniu świty szlachetnych rycerzy albo w złocistej lektycie niesionej przez potężnie umięśnionych niewolników. Ale tam nie ma króla. Mieszkańcy Omelas nie mają mieczów ani niewolników. Nie są barbarzyńcami. Nie znam zasad ani praw, jakimi rządzi się ich społeczeństwo, ale podejrzewam, że jest ich niewiele. I tak jak obywają się bez monarchii czy niewolnictwa, świetnie radzą sobie bez giełdy, reklamy, tajnej policji i bomby. A jednak powtarzam: nie są to ludzie prymitywni - łagodni pasterze, szlachetne dzikusy czy mętni utopiści. Nie są ani trochę mniej skomplikowani od nas. Problem w tym, że mamy zły zwyczaj, kultywowany przez pedantów i snobów intelektualnych, utożsamiania szczęścia z głupotą. Według nas tylko cierpienie przenosi w sferę doznań intelektualnych, tylko zło jest interesujące. Jakże często grzeszą w ten sposób artyści, nie chcąc przyznać, że zło potrafi być banalne, a cierpienie potwornie nudne. Nie możesz ich zwalczyć, przystań do nich. Jeśli któreś z twoich doświadczeń okaże się bolesne - spróbuj je powtórzyć. Ale pochwała rozpaczy oznacza potępienie rozkoszy. Akceptować gwałt to tyle, co stracić wszystko inne. I prawie wszystko straciliśmy - nie potrafimy już opisać szczęśliwego człowieka, nie potrafimy celebrować radości. Jak więc mam mówić o mieszkańcach Omelas? Nie są to naiwne, szczęśliwe dzieci, chociaż ich dzieci są szczęśliwe. To dojrzały, inteli-

gentni, pełni namiętności ludzie, których życia nie sposób nazwać ubogim. Co za cud! Ale chciałabym móc opisać to lepiej. Chciałabym móc was przekonać. Omelas w mojej opowieści jawi się miastem z bajki - dawno, dawno temu, za siódmą górą, za siódmą rzeką. Skoro jednak opisując je, nie zdołam dogonić wszystkich, byłoby może lepiej, gdyby każdy przedstawił sobie miasto zgodnie z własnymi wyobrażeniami, przyjmując, że rzeczywistość go nie zawiedzie.

Weźmy na przykład sprawy techniki. Myślę, że w Omelas nie mają ani samochodów, ani helikopterów, co wynika z faktu, że są szczęśliwi. A przecież szczęście polega na umiejętności rozróżnienia pomiędzy tym, co niezbędne, tym, co ani niezbędne, ani szkodliwe, i wreszcie tym, co zdecydowanie szkodliwe. Otóż w kategorii środkowej - rzeczy przydatnych, ale nieszkodliwych, zapewniających wygodę, a nawet luksus i dostatek - mogą być centralne ogrzewanie, koleje podziemne, pralki i wszelkiego rodzaju cudowne urządzenia, których tu jeszcze nie znają, jak oświetlenie bezprzewodowe, energia bez paliwa czy lekarstwo na katar.

Ale równie dobrze może tego wszystkiego w Omelas nie być, to nie ma znaczenia. Jak sobie chcecie. Ja osobiście jestem skłonna sądzić, że sąsiedzi z innych miast wybrzeża ściągali do Omelas na karnawał małymi, bardzo szybkimi pociągami lub piętrowymi tramwajami i że tutejszy dworzec kolejowy jest obecnie najpiękniejszym budynkiem w mieście, jeśli nie liczyć wspaniałej Hali Targowej. Obawiam się jednak, że nawet z ich pociągami wielu z was i tak uzna Omelas za zbyt sielankowe. Uśmiechy, dzwony, pochody - nudy na pudy. Jeśli tak, niech będzie jakaś orgia. Jeśli orgia załatwi sprawę - nie wahajcie się ani chwili. Tylko bardzo proszę, bez żadnych świątyń, z których wychodzą - w stanie ekstazy - piękni nadzy kapłani i kapłanki, gotowi kopulować z każdym - kobietą czy mężczyzną, kochankiem czy nieznajomym - kto pragnie związku krwi z najwyższym bóstwem, chociaż, przyznaję, z początku sama o tym myślałam. Lepiej niech w Omelas nie będzie żadnych świątyń, a przynajmniej świątyń z ludźmi. Religia - owszem, kler w żadnym razie. Proszę, niech się przechadzają piękne golasy, niech częstują sobą zgłodniałych i spragnionych jak świętym sufletem. Niech się włączą w pochód. Niech nad kopulującymi wałęsają w tamburyny, niech gongi głoszą chwałę pożądania, ale - najważniejsze - niech dzieci, stanowiące owoc tych cudownych obrządków, będą przedmiotem ogólnej miłości i troski.

Wiem, że jednego nie ma w Omelas na pewno: pojęcia grzechu. Zgoda, ale mówmy o tym, co powinno być. Z początku uznałam, że nie ma narkotyków, ale to byłoby zbyt purytańskie. Ostatecznie dla tych, którzy to lubią, niechby unosił się nad ulicami lekki słodkawy aromat drooz, tego drooz, które najpierw daje umysłowi i wszystkim członkom lekkość i sprawność, po kilku godzinach senną oціężałość, na koniec zaś wspaniałe wizje najgłębszych tajemnic wszechświata i pełnię zadowolenia seksualnego przekraczającą wszelkie wyobrażenie. Ale to wszystko, oczywiście, bez groźby nałogu. Dla tych, którzy mają skromniejsze wymagania, mogłoby być piwo. Cóż jeszcze powinno gościć w mieście radosnym? Nastrój zwycięstwa, a jakże, i kult odwagi. Ale tak jak poradziliśmy sobie bez duchowieństwa, dajmy sobie spokój z wojskiem. Radość oparta na zręcznym mordowaniu nie jest właściwą radością; nie o to chodzi, to przerażające i trywialne. Bezgraniczne i szczere zadowolenie, pełen wielkoduszności tryumf, odczuwany nie w konfrontacji z wrogiem ze-

wnętrznym; raczej komunia dusz, synteza tego wszystkiego, co w ludzkości najpiękniejsze i najsubtelniejsze, atmosfera powszechnego lata. Oto uczucia, jakimi wzbierają serca mieszkańców Omelas, oto zwycięstwo, które oni celebrują - zwycięstwo życia. Nie sądzę, aby wielu z nich odczuwało potrzebę zażywania drooz.

Większość pochodów zdążyła już dotrzeć do Zielonych Błoni. Z czerwonych i niebieskich namiotów dobiegają smakowite zapachy. Buzie dzieciaków są rozkosznie lepkie; w siwej brodzie dobrotliwego starca utkwili okruchy słodkiego ciasta. Dziewczęta i chłopcy dosiedli już koni i ustawili się w pobliżu linii startowej. Mała, pulchna, roześmiana staruszka rozdaje z koszyka kwiaty, które postawni młodzieńcy wplatają sobie w lśniące włosy. Na skraju tłumu siedzi i gra na flecie smutne dziewięcio- czy dziesięcioletnie dziecko. Ludzie zatrzymują się z uśmiechem, żeby go posłuchać, ale nikt się nie odzywa do ciemnookiego malca, który ani na chwilę nie przerywa gry, nie widzi nic, poddany magii subtelnych, pełnych wdzięku tonów.

Chłopiec przestaje grać, powoli opuszcza ręce, w których trzyma drewniany flet.

Jak gdyby ta mała prywatna chwila ciszy była jakimś sygnałem, z pawilonu położonego koło linii startowej zagrzmiały trąby - władczo, melancholijnie, a zarazem przenikliwie. Konie tańczą na smukłych zadnich nogach, rżeniem odpowiadając na hasło. Młodzi jeźdźcy, skupieni, klepią je uspokajająco po szyjach: "Dobry, dobry...". Zaczynają się formować w szereg na linii startowej. Zebrany wzdłuż toru wyścigowego tłum przypomina upstrzony kwieciami łąk zboża na wietrze. Tak rozpoczął się Letni Karnawał.

Wierzycie mi? Wierzycie w to wszystko: święto, miasto, radość? Nie? To pozwólcie, że jeszcze coś wam powiem.

W suterrenach jednego z okazałych budynków publicznych Omelas, a może lepiej w piwnicach jednej z obszernych, prywatnych rezydencji jest pomieszczenie. Nie ma tu okna, tylko wiecznie zaryglowane drzwi. Sący się tu jedynie przez szpary w deskach przesiane przez kurz światło, wpadające zasnutym pajęczynami okienkiem sąsiedniej piwnicy. W kącie małej izdebki, obok zardzewiałego wiadra, stoją sztywne, pozlepiane, śmierdzące miotły. Podłoga to klepisko, miejscami mokre, jak to zwykle klepiska w piwnicach. Wymiary pomieszczenia: dwa na trzy kroki - ot, po prostu używana komórka na miotły czy narzędzia. W izbie tej siedzi dziecko. Może to być równie dobrze chłopiec, jak i dziewczynka. Wygląda na sześć lat, ale ma dziesięć. Jest niedorozwinięte umysłowo. Może to wada wrodzona, a może konsekwencja nieustannego lęku, niedożywienia i zaniedbania. Dziecko, przycupnięte w kącie, z dala od wiadra i mioteł, dłubie w nosie i od czasu do czasu bezmyślnie bawi się palcami u nóg i genitaliami. Boi się mioteł. Wydają mu się straszne. Zamyka oczy, ale wie, że miotły w dalszym ciągu stoją na swoim miejscu, że drzwi są zamknięte, że nikt tu nie przyjdzie. Z rzadka - dziecko nie ma ani poczucia, ani miary czasu - drzwi otwierają się z potwornym łoskotem i ktoś się w nich pojawia, nieraz nawet kilka osób. Zdarza się, że jeden z gości wchodzi do środka i podrywa dziecko kopniakiem na nogi. Reszta na ogół się nie zbliża, tylko stojąc w drzwiach, przygląda mu się ze strachem i obrzydzeniem. Pospiesznie napełniają dziecku miskę strawą, a dzbanek wodą i ryglują drzwi - ciekawe oczy znikają. Ludzie nigdy nic nie mówią, ale dziecko, chłopiec, który nie zawsze żył w komórcie i zachował pamięć świata słonecznego i głosu matki, odzywa się czasem. "Już będę

grzeczny - mówi. - Wypuście mnie. Już będę grzeczny”. Ale nikt mu nie odpowiada. Malec, który kiedyś często płakał po nocach i wołał o pomoc, teraz kwili tylko “łaa... łaa...” i odzywa się coraz rzadziej. Ma wielki, wzdęty brzuch i jest tak chudy, że zupełnie stracił łydki. Cała jego dzienna dieta to pół miski mąki kukurydzianej z tłuszczem. Jest nagi, a ponieważ cały czas siedzi we własnych odchodach, jego uda i pośladki to jedna wielka, ropiejąca rana.

Wszyscy słyszeli o dziecku, to znaczy wszyscy mieszkańcy Omelas. Niektórzy przychodzą specjalnie, aby je obejrzeć, innym wystarczy sama świadomość jego istnienia. Wiedzą, że dziecko musi tu być. Jedni rozumieją dlaczego, inni nie, ale wszyscy zdają sobie sprawę, że ich szczęście, piękno ich miasta, więzy przyjaźni, zdrowie ich dzieci, mądrość uczonych, sprawność rzemieślników, a nawet obfitość zbiorów i pogoda są całkowicie uwarunkowane odrażającą nędzą małej ofiary.

Zwykle wyjaśnia się dzieciom te sprawy między ósmym a dwunastym rokiem życia, w okresie po temu najodpowiedniejszym. Odwiedzający dziecko to przeważnie młodzież, zdarza się jednak, że przychodzą i dorośli, czasem nawet po parę razy. Niezależnie jednak od tego, jak dokładnie im się ten problem wytłumaczy, dla młodych widok dziecka jest zawsze szokujący. Wychodzą z obrzydzeniem, choć przecież uważali się za wyższych ponad to. Mimo wszelkich wyjaśnień ogarnia ich wściekłość, czują się poniżeni i bezsilni. Chcieliby coś zrobić dla malca. Ale nie mogą. Gdyby go bowiem wyprowadzono z tej strasznej nory na światło dzienne, gdyby go nakarmiono, umyto i otoczono czułością, w tej samej chwili przysłoby całe piękno, bogactwo i radość Omelas. Takie są warunki. Zamienić powodzenie i uroki życia wszystkich na to jedno małe dobrodziejstwo, oddać szczęście tysięcy za szczęście jednostki - to tyle co wpuścić do miasta grzech.

Warunki są surowe i bezwzględne: Nie wolno odezwać się do dziecka jednym życzliwym słowem.

Często młodzi ludzie odchorowują widok malca i zetknięcie z tym strasliwym paradyksem. Wracają do domu rozgoryczeni, z płaczem, rozpamiętując to nieraz tygodniami, niekiedy latami. Z czasem jednak zaczynają zdawać sobie sprawę, że gdyby nawet uwolnić dziecko, niewiele by mu z tego przyszło poza przyjemnym poczuciem ciepła i sytości. Jest zbyt zdegradowane i tępe na to, by móc przeżywać prawdziwą radość. Zbyt długo się bało, by się pozbyć uczucia strachu. Jest zanadto nieokrzesane, by odpowiedzieć na ludzką życzliwość. Brakowałoby mu najprawdopodobniej murów, które je dotąd chroniły, niezbędnych oczom ciemności i własnych odchodów, w których mogłoby siedzieć. Ale łyzy wywołane poczuciem gorzkiej niesprawiedliwości łatwo wysychają: ludzie dostrzegają okrutną sprawiedliwość rzeczywistości i szybko się z nią godzą. A przecież to właśnie w tych łzach i gniewie, w dobrych chęciach i pogodzeniu się z własną bezsilnością należy upatrywać prawdziwych przyczyn ich powodzenia. Ich szczęście nie jest jałowe, nie wynika z braku odpowiedzialności. Ludzie ci wiedzą, że - tak jak dziecko - nie są wolni. Wiedzą, co to współczucie. Wiedzą, że piękno ich architektury, wielkość muzyki, rozległość wiedzy - wszystko to jest możliwe dzięki istnieniu dziecka i temu, że oni są tego świadomi. To przez pamięć o nim są tacy dobrzy dla swoich dzieci. Zdają sobie sprawę, że gdyby nieszczęśliwy malec

nie skomlał w ciemnościach, ten drugi, mały flecista, nie przygrywałby tak radośnie urodziwym jeźdźcom przygotowującym się do startu w słońcu pierwszego letniego poranka.

Powiedzcie: czy teraz wierzycie? Czy nie stało się to wszystko bardziej prawdopodobne? Chwileczkę, jest jeszcze jedna rzecz, zupełnie nieprawdopodobna, o której chciałabym wam jeszcze powiedzieć.

Otóż od czasu do czasu jakiś chłopak czy dziewczyna, zamiast zżymać się po takiej wizycie i płakać, wcale nie wraca do domu. Niekiedy ktoś ze starszych, zrazu dziwnie milczący, po paru dniach również opuszcza dom. Ci ludzie idą ulicami przed siebie, aż wreszcie wychodzą z miasta przez piękne wrota. Wędrują dalej przez wsie Omelas, a każdy z nich - chłopak czy dziewczyna, mężczyzna czy kobieta - podąża samotnie. Zapada noc. I zawsze tak samo: ulicami miasta, pośród żółtych prostokątów okien i dalej przez mroczne pola ciągną na zachód czy północ ku górcom. Odchodzą z Omelas i idą w ciemność, by już nigdy nie wrócić. Miejsce, do którego zmierzają, jest jeszcze bardziej niedostępne naszej wyobraźni niż miasto szczęścia. Nie próbowałabym go nawet opisać. Być może w ogóle nie istnieje. Ale ci, co odchodzą z Omelas, wiedzą, dokąd prowadzi ich droga.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Ursula K. Le Guin
Ci, którzy odchodzą z Omelas
październik 1973

<https://www.scribd.com/document/373233287/Guin-Ursula-Ci-Ktorzy-Odchodz%C4%85-z-Omelas>

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

pl.anarchistlibraries.net